

Wiatr nie zatrzymywany żadnymi przeszkodami zawodził pomiędzy rozpadającymi się już szczątkami zwęglonych drzew, unosząc przy tym tumany kurzu z poczerńiałej ziemi. Powyżej powoli sunęły ciężkie chmury, wypełniając powoli ciemnością każdy skrawek widnokregu. Czyniąc nadchodzącą noc jeszcze bardziej mroczniejszą, jedynie ostatnie połyski słońca na tle nienaturalnie karminowego nieba oświetlały jeszcze niegdyś tętniącą życiem przestrzeń. Oprócz martwej ciszy przerywanej gwizdami wiatru, dało się słyszeć jakby echem pomiędzy lasem kikutów szuranie dwóch par butów. Przeciągły charakter tego dźwięku dawał do zrozumienia o wyczerpaniu wędrowców, Na dodatek ich wędrowce przeszkadzały wydmy z suchej na wiór mieszanki popiołu i pyłu stawające im co chwila na zlewającym się z barwą otoczenia popękany asfalter. Jeden z nich opierał się cały czas o drugiego, lekko kuśtykając i sycząc z bólu gdy stawał na swoją lewą nogę.

- Możemy się na chwilę zatrzymać, nie wytrzymam dłużej... - wychrypiał.  
- Jeszcze kawałek, tu za chwilę będzie miejsce w którym zostaniemy na noc. - powiedział próbując zmobilizować swojego kompana do ostatniego wysiłku.

Mogli oni mieć przy bliższym przyjrzeniu około czternastu, może trzynastu lat. Trudno to było stwierdzić po wyglądzie, ponieważ do spoconych ciał przyklejał się wszędobylski pył, który na dodatek drażnił liczne zadrapania i ranki na ich skórze. Całość dopełniały wiszące na nich dziurawe łachmany z podwiniętymi rękawami i nogawkami. Jedynie po pozostałych kilku połyskujących metalicznie guzikach dało się rozpoznać że to pozostałości szkolnego mundurka.

Droga zaczynała lekko skręcać za znajdujący się po prawej przed nimi niewielki pagórek. W miarę jak kuśtykali zaczynało pokazywać im się spękane koryto rzeki. Chłopcy szli dalej w milczeniu, przyzwyczajeni do tego widoku nie próbowali się nawet łudzić że cokolwiek zastaną. Nad rzeką górował teraz niezbyt duży kamienny most, bez wody okalającej jego filary wydawał się teraz niezbyt wysoki. Chłopiec sprowadził ostrożnie kuśtykającego towarzysza po stromym brzegu i wszedł z nim pod most. Jak najdelikatniej próbował posadzić go na ziemię, ale i tak nie obyło się bez bolesnego syknięcia. Kiedy skończył, wyprostował się przeciągając odrętwiałe ze zmęczenia ciało, po czym z głośnym westchnięciem usiadł opierając się tu o pionową w tym miejscu ścianę mostu.

Przez chwilę dało się słyszeć tylko ich gwizdzące oddechy.

- Daleko jeszcze będziemy iść... - powiedział chłopak z ranną nogą - ...jest w ogóle jakiś sens w tym co robimy? Wszystko dookoła jest spopielone na wiór.

- To mamy się położyć i czekać na śmierć? - popatrzył na niego drugi z wyrzutem - Nie po to szedłem z tobą taki kawał żeby teraz się poddać! Zresztą już jesteśmy prawie na miejscu.

- Ty nadal się sądzisz że te dymy na wschodzie to nie kolejne dopalające się miasto!? Rozejrzyj się dookoła, otacza nas cholerne pustkowie!!! - krzyknął po czym ukrył twarz w rękach.

Nie wiedział co powiedzieć, jedyne co prowadziło go naprzód to instynkt nakazujący mu iść dalej. Gdyby nie to byłby już martwą skorupą człowieka, czekającą pod jednym z kikutów na idący powoli lecz nieubłagane koniec. Mijali takich sporo przez pierwsze trzy dni, mającące do siebie sylwetki poparzonych ludzi którzy widzieli piekło. Tak muszą czuć się ludzie którzy stracili wszystko - pomyślał. Przynajmniej im dalej szli, było mniej tych głuchych na wszelkie próby komunikacji ludzkich wraków.

Odgarnął zlepione kasztanowe włosy z czoła, po czym spojrzał na sklepienie ich tymczasowego schronienia. Powieki stawały się coraz cięższe, a całe ciało wiotczało wymuszając na umyśle poddanie się jego woli i zaśnięcie.

- Jeżeli nie wędrowka do przodu to co nam pozostało... - rzekł ostatkiem świadomości, po czym skapitulował i poddał się omdlałemu snu. Jego kolega poszedł zaraz w jego ślady, spuszczaając w dół ręce i oblekła w blond włosy głowę.

Obudziła ich jeszcze przed świtem wszechobecna wilgoć, wyschnięta gleba łączywie piła opadła w formie ulewnego przez noc deszczu wodę. Mimo to korytem rzeki płynął ostrożnie mały strumień.

Powstali pośpiesznie i kuśtykając dobiegli do szemrzącej z cicha wody, mimo iż woda miała kolor kawy z mlekiem i niosła pełno piasku, chłopcy łączywie ją pili wprost z źródła. Co chwila wypluwając chrzęszczący pomiędzy zębami piasek. Po zaspokojeniu pierwszego pragnienia, zaczęli się ochlapywać cały czas radośnie śmiejąc się, jakby nie otaczało ich wymarłe pustkowie. Usiedli cali mokrzy na piaszczystym brzegu, wpatrując się w uspokajający nurt wody. Słońce już powoli wstawało znad horyzontu, rozganiając swoimi promieniami ostanie chmury pozostałe po nocnym deszczu na nieboskłonie. Jeżeli mieli dalej iść musieli ruszać teraz by zacząć swą wędrowkę przed nadchodzącym skwarem południa. Z trudem wspięli się po teraz śliskim brzegu

rzeki i weszli na most, kontynuując swą straceńczą wędrówkę, teraz z trudem przedzierając się przez osiadłe na drodze błoto i kałużę. W miarę jak słońce zwiększało swoją wysokość, z ziemi miejscami nawet sycząc wydobywały się prawdziwe chmury pary wodnej. Toteż około południa cała wilgoć z powierzchni zdążyła już wyparować, zostało tylko zaschłe błoto. Jedyne plus było takie że nie było już wszechobecnego pyłu. Szli uparcie dalej pokrzepieni wodą z rana, ranny chłopak nawet nie próbował narzekać, szedł jednak ze spuszczoną całą czas głową.

- Przepraszam, nie wytrzymałem wczoraj. To wszystko co się stało... po prostu nie wiem co się dzieje dookoła i ze mną.

Chłopak tylko uśmiechnął się do niego i popatrzył wprost w jego niebieskie oczy.

- Nic się nie stało Igor. Też jestem skołowany, a idę tylko dlatego że nie mam nic do stracenia.

Kiedy tak próbowali podtrzymać się wzajemnie na duchu, w oddali zamajaczyły ruiny małego miasteczka, nad którym górowała wieża murowanego kościoła. Z oddali już dało się dojrzeć że wszystkie budynki i ich elementy jakie się ostały to te nie wykonane z drewna. Pomiędzy murowanymi szkieletami budynków widniały gdzieśgdzie wypalone do szczętu miejsca. Zaś w miejsce wszystkich okien widniały wypalone puste framugi patrzące otępiało w dal niczym oczodoły w ludzkiej czaszce.

W miarę jak przybliżali się, zauważyli że miasto otoczone jest wieńcem okopów i ziemnych bunkrów, zaś gdzieśgdzie stały wymierzone w niebo działa przeróżnych kalibrów. Pomiędzy nimi krzątali się żołnierze nie wyglądający lepiej od nich, machinalnie wypełniający rozkazy jeszcze pozostałych dowódców nie próbując nawet zrozumieć co się stało. Ich mundury przechodziły kolorami przez szary, do brudno zielonego, na ciemnym błękitnie kończąc. Szli ulicami mijając nielicznych uchodźców o obojętnych twarzach oraz rozległych poparzeniach. Kiedy doszli do głównego rynku, ukazały im się duże namioty z czerwonym krzyżem, otoczone płótem z drutu kolczastego obok którego kręciły się psy o postrzępionej sierści, uciekające na widok wartownika. Doszli do jednej z dwóch furtek, kiedy drogę zagroził im wartownik i warknął:

- Czego lezicie! - z wygląd mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat, jednak po twarzy było widać zmęczonego życiem człowieka, a z podkrążonych oczu spozierała pustka.

- My tylko przyszliśmy... sami nie wiemy po co...

- Daj spokój Wojtek, nie widzisz że ma ranną nogę. - odrzekła zza jego pleców młoda pielęgniarka w fartuchu umorusanym zaschniętą krwią. - Co prawda zapasy się już skończyły, ale wiem gdzie chirurg trzyma zapasy na czarną godzinę, jak się pośpieszymy to może wszystkiego nie wychła. - jej uspokajający lekki uśmiech kontrastował z całym otoczeniem.

Wojtek obojętnie wzruszył ramionami i otworzył szybkim ruchem furtkę wpuszczając dwójkę do środka. Chłopcy niepewnie ruszyli za swoją wybawicielką, weszli za nią do namiotu dla personelu. Rozejrzała czy nikt nie nadchodzi, po czym wyjęła z kufra stojącego przy jednym z łóżek do połowy pełną butelkę spirytusu, z dna innego kwadratową gazę i w miarę czysty kawałek lnianego materiału.

Powoli zdjęła opatrunek z uda chłopca, pod spodem była dość głęboka, ropiejąca rana. Wyglądała ewidentnie na robotę jakiegoś palika lub pręta. Na chwilę uśmiech zszedł z rozpromienionej niczym u anioła twarzy pielęgniarki, ale po chwili wróciła do swojej roli. Wzięła butelkę i lekko polala nią skórę powyżej rany. Posępną ciszę miasteczka przerwał nagły krzyk.

\*

Polowe łóżko skrzypiało gdy wstawał, skołowany i z piekącym jak diabli udem wyszedł na zewnątrz namiotu. Był mglisty poranek, wstające słońce znów zaczynało zabierać ziemi życiodajną wilgoć.

Przeciągnął się z bolesnym sykiem. Potem zaczął się rozglądać za swoim przyjacielem, zrobił kuśtykając krótką rundkę po prowizorycznym szpitalu ale go nie znalazł. Podchodził już do furki chcąc wyjść i poszukać go na zewnątrz, gdy nagle z wieży kościoła dało się słyszeć głośny sygnał trąbki. Wartownik z przestraszeniem spojrzął na wieżę, po chwili całe miasto zaczęło roić się od wojskowych biegnących w sobie tylko znanych kierunkach. Obite metalem drzwi kościoła uchylły się i wyszedł z nich człowiek o krzaczastych wąsach i brwiach, zakładający w pośpiechu bledoszary mundur. Za nim w pośpiechu wyskoczyło jeszcze parę oficerów różnej narodowości, słuchając jego szybkich pouczeń rozsyłając przy okazji nerwowych gońców z poleceniami dla oddziałów. Znikli zza węgłem idąc w stronę okopu. Po chwili zapanowała głucha cisza towarzysząca zawsze temu typowi oczekiwania, dało się słyszeć miejscami tylko ciche szeptanie różańca albo przyciszone śmiechy żołnierzy dodających sobie czarnym humorem otuchy. Jednak po chwili nawet oni ulegli potędze cichego

odrętwienia i uważnie nasłuchiwali każdego szmeru. Igor przez cały ten czas pośpiesznie kuśtykał po bruku, bezskutecznie nawołując:

- Janek! Gdzie jesteś durniu! - jego krzyk szedł echem po pustych ulicach, wszyscy pozostali uchodźcy próbowali się schować pod gruzy, część w panice próbowała uciekać i wybiegała z miasta w sobie tylko znanym kierunku. Większość jednak po prostu stała i patrzyła w niebo.

Nagle na wysokości około dwustu metrów w odległości może pół kilometra od miasta, zamajaczyła ciemna sylwetka zbliżająca się od północy. Nagle odbiła lekko na zachód pokazując teraz swoją wydłużoną powyżej stu metrów sylwetkę. Od strony w którą poszedł wąsacz ze swoim sztabem dało się usłyszeć ostry, przeszywający uszy niczym sztylet dźwięk gwizdka. Wszystkie działa plunęły ogniem w stronę czającego się olbrzyma.

Pierwsza salwa w większości chybiła, załogi dział musieli się najpierw wstrzelić w cel. Tajemnicza sylwetka bez zastanowienia odpowiedziała ogniem, też niezbyt celnym. Podmuch wystrzału z dział rozwiął okoliczną mgłę i ukazał obrońcą w pełni sylwetkę ich napastnika. Był to latający statek przypominający uzbrojeniem jak i wielkością niszczyciela, dwa kominy znajdujące się w śródkręciu buchały kłębamii pary. Na burcie miał namalowane ogromne dwa krzyżujące się ze sobą klucze. Działa na statku mimo iż mniej liczne, kryły ogniem teren coraz bliższy naziemnym stanowiskom, nie oszczędzając przy tym zabudowań miasta. Nagle z pagórka znajdującego się po przeciwnej niż okręt stronie miasta dało się słyszeć potężny huk, niczym grzmot podczas burzy wystrzeliło dotychczas kryte pod siatką maskującą najcięższe działo obrońców. Pocisk przeleciał ze świstem nad miastem, po czym wbił się ze zgrzytem w dziobową burtę i eksplodował rozrywając okręt na dwa nierównomierne kawałki. Oderwana dziobowa część po wylaniu się z niej ciemnej, cieczy powoli zaczęła się unosić w górę powyżej warstwy chmur, reszta niszczyciela od wyrwy w kadłubie również traciła ciemną ciecz, jednak po chwili cieknięcie ustało, a okręt tylko nieznacznie zwiększył swą wysokość. Rufowa wieża jeszcze chwilę odpowiadała ogniem, jednak po tym jak mniejsze kalibry podpaliły śródkręcie i ona skapitulowała. Dookoła dało się słyszeć okrzyki radości i wiwaty. Igor w końcu znalazł Janka stojącego zaraz przy linii okopów wpatrującego się w płonący wrak.

- Tu jesteś, wszędzie cię szukałem - powiedział z wyrzutem.

On jednak milczał wpatrzony w dal, po czym spojrzał zielonymi oczami na Igora.

- Miałeś rację, nie było w tym żadnego sensu.

Po krótkiej chwili gdy to powiedział, rozwiewając podmuchami ogromnych wirników w tym samym miejscu w którym przed chwilą pojawił się niszczyciel, ukazała się ogromna masa przypominająca jednocześnie miasto i pancernik. Ogromną nadbudówkę z przodu, poprzedzały trzy ogromne wieże w których tkwiły gargantuicznego kalibru dwa działa. Olbrzym nawet nie odwracał się burtą tylko wystrzelił ze wszystkich trzech wież jednocześnie. Ogromne wybuchy wstrząsnęły ziemią, wysadzając w powietrze pół miasteczka wraz z kościołem. Drugą połowę zmiotła fala uderzeniowa wybuchów, a następnie deszcz gruzu i odłamków dopełnił dzieła zniszczenia. Ostatni bastion oporu w okolicy, ucichł na zawsze.

\*

Ludzie zebrani w dużej sali na mostku klaskali z uznaniem, ambasadorzy dodatkowo usiłowali nie pocić się z nerwów, co widząc po ich świecących czołach nie wychodziło im za dobrze. Uśmiechnął się pod nosem, pomyśleć że zaczynał swe wielkie dzieło w pracowni Geista jako dojrzały mężczyzna przeżywający kryzys wieku średniego. Dziesięć lat pracy pod dachem tego tchórza który przeraził się swojego życiowego dzieła i próbował je zniszczyć. Chemia, której był ojcem, potrafiła nie tylko tworzyć ale i niszczyć, palić doszczętnie. To było jak zesłana przez siłę wyższą moc umożliwiająca zbudować nowy, wspinały świat, na dopalających się dogmatach starego. Świat który zasiedli nowa, lepsza rasa ludzi. Nie dokonałby tego wszystko gdyby wtedy nie poszedł do teatru.